**GODŁO: JOKO**

 Przede mną znowu trudny wybór. Stoję przed otwartą lodówką, aż poirytowana zaczyna pikać. W końcu decyduję się na portera i ją zatrzaskuję.

 Teraz muszę rozwiązać kolejny dylemat – Bach czy przeboje lat dwudziestych? Otwieram puszkę i wybieram lata dwudzieste. Gdy z głośników rozlega się głos Mieczysława Fogga, rozkładam się wygodnie w fotelu. No i git – nie rozpaczam, no i humor mam. Nawet mi się podoba. Akurat kiedy zaczynam odpływać do krainy marzeń, rozlega się łupanie do drzwi. Szlag. Koniec zabawy.

 Wstaję niechętnie i najpierw podchodzę do okna. Zerkam, jaka jest sytuacja. Na ulicach apokalipsa pełną gębą. Zupełnie jak pokazywali to na filmach – spalone samochody, powybijane szyby, zburzone mury, poczerniałe ściany, a wszystko to okraszone dziką, kilkuletnią roślinnością, która zdążyła już pokryć dachy samochodów. W sumie ładny widok. Spokojnie jest – nie ma ludzi, ptaków, nawet wiewiórki ani choćby jednego gołębia. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze trzy lata temu biegała tu uzbrojona po zęby armia, goniąc popandemiczne zombiaki.

A jednak – zauważam sąsiadkę w bloku naprzeciwko. Pani Andzia, z tego co kojarzę. Starowinka pranie sobie wiesza w salonie. No ładnie. Wody tyle co kot napłakał, a pani sobie pranie robi. Jak ktoś nakabluje, to będzie mandacik jak nic. Pani Andzia chyba przegapiła koniec świata – zasiedziała się w domu, czekając na wizytę przez NFZ.

 Gadałem kiedyś z facetem, który czekał ze mną w kolejce do dentysty na NFZ. Potakiwałem grzecznie, gdy wylewał z siebie siódme poty, aby przekonać mnie, że niedługo zombie opanują świat. To było jeszcze przed apokalipsą rzecz jasna, kilka lat przed III Wojną Światową. Przekonywał mnie, że w 2024 zombie opanują świat i będą pisać o tym w podręcznikach do historii. Pamiętam, że jego argumenty nawet miały sens, ale przez jego żywiołowy monolog i przez to, że w jego trakcie wezwali faceta do gabinetu, nie zdążyłem zapytać: kto do kroćset miałby czytać podręcznik do historii w świecie opanowanym przez zombie? Może napisać by ktoś zdążył, ale przeczytać? Kolejny beznadziejny przypadek ofiary NFZ.

 Znów rozlega się łupanie. Opróżniam puszkę do połowy, odstawiam ją na parapet i podchodzę do drzwi. Otwieram je i przyglądam się dwóm typom przez przezroczystą ścianę z pleksy. Pełny profesjonalizm – uniformy jak z laboratorium, białe, jakby ktoś je świeżo wyprał. Może pani Andzia jakiś biznes na boku kręci za dodatkowe kartki?

 Przyglądam im się i coś mi nie gra. Po chwili do mnie dociera, że ci dwaj noszą maski przeciwgazowe jak z czasów II Wojny Światowej. Takie z wielkimi szkłami na oczy i długimi trąbami wystającymi z ust. Widziałem kiedyś takie w muzeum w Gdańsku. To było dobre muzeum. Trochę go szkoda, ale najwyraźniej jeszcze jakiś pożytek z niego jest.

 Jeden przechyla głowę w bok i burczy coś do mnie. Drugi klepie go po ramieniu i wskazuje palcem swoje ucho. Ten pierwszy kiwa głową i palcami w lateksowej, niebieskiej rękawiczce kręci czymś na karku.

 - Imię i Nazwisko – słyszę nieco trzeszczący głos spod maski.

 - Jan Kowalski – odpowiadam nieco zrezygnowany, bo wiem, czym to się skończy.

Kolesie patrzą na siebie, stukając się trąbami. Jeden z nich kręci głową, przysuwa ogromny, metalowy wózek, na jakim kiedyś rozwoziło się jedzenie w szpitalu i podnosi leżący na nim notes. Przekłada te kartki mozolnie, aż w końcu wbija we mnie spojrzenie zza binokli.

 - Mieszkanie Osiedle Avia 4/153 nr 1460/2. Mówicie, że Jan Kowalski?

 - Jan Kowalski – potwierdzam spokojnie.

Przyglądam się dolnej półce wózka, na którym stoją zgrzewki z piwem, batony energetyczne i słoiki z żarciem. Przypominam sobie o puszcze z porterem, który właśnie wygazowuje się na parapecie i autentycznie robi mi się przykro. Nie ma nic gorszego niż wygazowane piwo, gdy siedzi się tygodniami samemu w małym mieszkaniu w postapokaliptycznym świecie.

- Panie Janie, my tu w rejestrze pana nie mamy. Ma pan jakiś dokument ze zdjęciem? Dowód osobisty? Paszport?

 - Zgubiłem gdzieś w 2028 – mruczę w odpowiedzi. – Ale i tak termin ważności by już wygasł. – Dodaję z głupim uśmiechem.

 - Wie pan co? Ja tu mam Michała Kickę wpisanego – odpowiada nierozbawiony facet z notesem.

 Rozkładam bezradnie ręce.

 - Ależ pan Kicka został zabrany stąd dwa miesiące temu, przy losowej rotacji reprodukcyjnej. A co do tej reprodukcji…

 - Staszek! – przerywa mi ten pierwszy – pokaż no ten notes.

 Wyrywa biednemu Staszkowi zeszyt i zaczyna go wertować w skupieniu.

Zaczynam tupać nogą z poirytowaniem i niemal słyszę pękające bąbelki, które ulatują z puszki, pyk, pyk…

Robię się naprawdę smutny.

 - Staszek, bo patrzysz na raporty z 2031 roku, bałwanie! – Krzyczy i bije tego Staszka notesem po głowie.

 Jak ja tęsknię za cyfryzacją…

 W końcu facet się uspokaja, wertuje kartki i przytyka Staszkowi notes pod nos.

 - Tu! – puka w niego energicznie palcem. – Tu masz rok 2032.

 W tym momencie wbija we mnie spojrzenie. Czuję się, jakbym stanął oko w oko z ogromną, rozwścieczoną muchą.

 - Panie Janie, zostały panu czterdzieści cztery karteczki, co będzie? – pyta mnie poirytowany.

 - Dwie zgrzewki pszenicznego i…zaraz, zaraz – mityguję się. – Jak to czterdzieści cztery? W zeszłym tygodniu miałem pięćdziesiąt osiem.

 - Inflacja rośnie – burknął.

 Otwieram usta w niedowierzaniu. Przeżyłem cały ten syf III Wojny Światowej, a padnę z głodu z powodu inflacji na karteczki! Widziałem jak w 2023 Rosja zmiata Ukrainę z powierzchni ziemi i skrupulatnie zabiera się za nas. Widziałem, jak USA robi to samo z Tajwanem i szarpie się z Chinami, zgniatając butem wszystko po drodze. Skutek uboczny, postronne ofiary, oni przecież nie chcieli – tak się potem tłumaczyli. Widziałem, jak pandemia ścina z nóg dziewięćdziesiąt procent mieszkańców świata i robi z nich zombie.

A swoich karteczek, psia jego mać, nie zobaczę! Jedyna stała aż do końca świata – inflacja.

 Wzdycham ostentacyjnie.

 - No to dajcie zgrzewkę pszenicznego i trzy puszki kukurydzy. A jak dorzucicie batona, to wam zaśpiewam ostatnią niedzielę Fogga – klnę na czym świat stoi i kopię wyimaginowany kamień. – No bo serio ta może być moją ostatnią. Za tydzień znajdziecie mnie zaschniętego na tamtej kanapie – wskazuję mebel za sobą – i będziecie musieli mnie sprzątać!

 Facet patrzy na mnie spode łba.

 - Procedura mówi, że w takim przypadku należy szczelnie odizolować mieszkanie, nie ma potrzeby…

 - To wam zostawię gramofon na cały regulator i wszystkie zombie z okolicy przybiegną na ostatnią niedzielę! – krzyczę nieźle rozeźlony.

 - Panie Kowalski, osiedle jest dobrze zabezpieczone, jesteśmy w bezpiecznej strefie. Pana działania nie są zagrożeniem. Naraża się pan tylko na mandat.

 To ja tu nieco wyjaśnię, o co chodzi z tym osiedlem. Jest takie w Krakowie, które złośliwi nazywają „Mrowiskiem”, no i w sumie trudno się z nimi nie zgodzić. Postawili tu całe mrowie wysokich bloków. Prawdziwe arcydzieło – nie jest łatwo zmieścić tylu ludzi na tak małym metrażu. Na szczęście architekci byli na tyle uprzejmi, by uwzględnić między budynkami wąskie przejścia. Dzięki temu mieszkańcy nie musieli skakać sąsiadom po balkonach, by dostać się do swojego mieszkania. Naprawdę miło z ich strony.

Oczywiście jak wszystkie prestiżowe tego typu molochy, odgrodzili je od gorszej kategorii starych bloków. To nic, że można do siebie z okna kuchni pomachać. Stary za płotem ma być i tyle, w końcu za prestiż się płaci. Ja osobiście czułem się bardzo bezpiecznie, gdy widziałem pana ochroniarza Mietka, który siedzi w kanciapie na rogu i czujnie udaje, że śpi, czyhając na złoczyńcę, knującego plan, jak zwinąć kwiatki z balkonu pani Zosi.

Z takimi osiedlami to nie ma żartów - trzeba mieć klucz do piaskownicy, a jak ktoś kogoś spoza osiedla zobaczy, to woła straż miejską i dzieciaka w kajdankach wynoszą na „pogadankę”. Wszędzie płoty, druty kolczaste, a jak trzeba pójść do przypisanej na swój adres poczty, to zajmuje to trzydzieści minut, bo co z tego, że kamieniem dorzucisz, skoro trzeba całe osiedle obejść? Czasem uda się dojść w piętnaście minut, jak się jakąś nielegalną dziurę w płocie znajdzie. Ale to trzeba mieć szczęście, bo od razu jakiś nadgorliwiec na straż dzwoni i pyk – pół godziny i dziury nie ma, więc już tą samą drogą nie wrócisz.

I kto by pomyślał, że to osiedle okaże się takie praktyczne? Ocalałych ulokowano na najwyższych piętrach, podpięli generatory, pozamykali wszystkie furtki, podnieśli zasiekowe mury i voila! Ostatni bastion ludzkości gotowy. Nawet windy działają. Tylko z wodą słabo.

- Panie Janie! – krzyczy na mnie kolega Staszka. – To co będzie? Bo my tu mamy jeszcze dziesięć mieszkań do obejścia.

Patrzę na niego koso.

- No to niech będzie ta zgrzewka pszenicznego i trzy słoiki kukurydzy. Zapomnijmy o batonie. – Dodaję cicho.

 Staszek schyla się i wyciąga z dolnej półki piwo i jedzenie.

 - Proszę założyć maseczkę i rękawiczki, a potem ostrożnie wysunąć szufladkę.

 Robię co mi każe, schylam się i wysuwam w ich stronę szufladę wmontowaną w pleksę. Staszek wkłada tam fanty, zamyka szufladę i przesuwa z powrotem.

 - Proszę poczekać czterdzieści osiem godzin i smacznego.

 - Miłego dnia, panie Janie, widzimy się za cztery dni – dodaje drugi i odchodzą, pchając ciężki wózek.

 Macham im na pożegnanie, zdejmuję maseczkę, rękawiczki i ze smutkiem patrzę na szufladę. Napiłbym się już pszenicznego, ale jednak wolę być ostrożny. Nie wiadomo jakie zarazki mogą tam siedzieć.

 Podchodzę do okna i wyglądam. Pani Ani już nie ma, a pranie zniknęło z wieszaka. Może dostała cynk, że idą. Podnoszę puszkę z porterem, pociągam łyk i krzywię się. Wygazowane. Trudno.

 Rozsiadam się wygodnie w swoim fotelu i patrzę na zachód słońca, wsłuchując się w „Ostatnią Niedzielę”. Przymykam oczy i zaczynam kołysać głową w rytm muzyki.

„Daj mi tę jedną niedzielę, ostatnią niedzielę, a potem niech…” – muzyka urywa się nagle i gaśnie lampka. Słyszę buczenie wyłączającej się lodówki.

 Generator padł. No cóż, tak to już bywa po apokalipsie. Prostuję nogi i zapadam się głębiej w fotel. Popijam wygazowane piwo.

 No i git – nie rozpaczam, no i humor mam.